ŚWIATŁO

Rok VI. Bytom G.-Sz., 1. Lipca 1892. **Nr. 13.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zoszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 30 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

PIOTR WŁAST,

PALATYN WROCŁAWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Konie jeszcze rozsiodływano i ks. Janik zaledwie był siadł spocząć, gdy mu oznajmiono Opata. Po drodze już orszak Biskupi, od ludzi przejeżdżających, dowiedział się o strasznej nowinie. Ks. Janik jej wierzyć nie chciał, ale stanąwszy u wrót spustoszonego dworu, sam oczyma własnemi zobaczył, co zeń uczyniono. Płaczących u wrót ludzi, powyłamywane drzwi, porąbane słupy, splądrowane komory, poroztwierane na oścież szopy, dowiodły mu, że opowiadający nie kłamali.

Ks. Janik łamał ręce nad losem powinowatego sobie i ukochanego człowieka, gdy Opat blady ukazał się w progu. Nie mówiąc słowa do siebie, stanęli potrząsając głowami, płakali oba.

— Ojcze mój — zawołał wreszcie Biskup — mów proszę! Co się stało u was? Najazd pogański! napaść zbójecka! Gdzie Petrek nasz! Gdzie rodzina jego? Nikt że nie stanął w obronie?

— Niema go! Spętany siedzi w więzieniu — rzekł O. Anzelm, — mściwa ręka niewiasty dosięgła nieszczęśliwego. Zdradą przemierzłą wziął go niegodziwy Dobek z łoża, bezbronnego, niebroniącego się. Porwał z nim syna, pochwycono Starostę Rogiera. Wszyscy oni w ciemnicy na grodzie, oskarzeni o zdradę... Splądrowano dom, zagarniają mienie. Sądny dzień przeżyliśmy.

— Tak — odparł Biskup zadumany — wybiła godzina sądu Bożego i stało się, co Wszechmocny dopuścił! Korzmy się przed Nim, bo On ludzi i namiętności ich używa za narzędzia woli swej! Tak! Bóg to uczynił, nie zemsta ludzka, ale płakać się godzi nad losem dotkniętego!...

— I ratować, ratować go trzeba — przerwał Opat gorąco. — Jeżeli nie wszystko ocalić to przynajmniej życie, życie jego, syna, rodziny!

Biskup westchnął zamyślony, potem rękę podniósł do góry.

— Poza księciem, za Dobkiem — rzekł — stoi Agnieszka! Zemsta niewieścia nieubłagana jest i dzika miary nie zna, nasycić się nie daje.

— Lecz niemniej starać się, próbować, kołatać potrzeba — przerwał Opat. — Ojcze nasz kochany! komu właściwiej jak tobie? Książę jest na jednym z zamków sąsiednich, szukać go, mówić z nim trzeba, upamiętać.

— Nie o Petrka tu samego chodzi! lękam się, aby ten sam los nie groził wkrótce królewskim sierotom. Idzie o państwo to, które chce zagarnąć! Po drodze napotykałem kupy ludzi zbiegających w lasy, księciu płyną posiłki, jego wysłańcy zajmują grody! Petrek był najgorętszym obrońcą praw małoletnich sierót, dla tego jego pierwszego zemsta spotkała, on im stał na przeszkodzie. Nie Petrka już, siebie ratować nam potrzeba! Dziś oni wydziedziczą książąt, jutro nas to samo spotkać może, odbiorą kościołom nadania, zajadą dobra... Agnieszka chce korony i władzy, duchowieństwo bronić musi sieroty, jutro i ono będzie prześladowanem.

— Cóż czynić? — zawołał Opat łamiąc ręce, — mamyż obojętnie patrzeć na zgubę dobroczyńcy naszego, stojąc z rękami założonemi?

Ks. Janik przeszedł się parę razy zadumany po izbie.

— Cierpliwości — rzekł — niech się okaże jasno, czego chcą i do czego dążą. Dzieła Kainowego dokonać mu nie damy!

— Pasterzu nasz! — zawołał Opat, całując go po rękach, — powaga wasza wielka, jesteście powinowaci uwięzionego, wy powinniście pierwsi jechać, aby się wstawić za nim.

— Właśnie iż powinowaty mu jestem, ruszyć się nie mogę — odezwał się ks. Janik. — Krokiem teraz od kościoła niepodobna odstąpić. Chcecie wy być posłem moim? Wkładam na was sprawę, jedźcie imieniem mem.

— Dla czegoż nie? — odparł Opat. — Ta suknia mnie obroni, pojadę choćby w paszczę potwora, nie zlęknę się stanąć ze słowem prawdy!

— Jedź! — rzekł ks. Janik — bądźcie odemnie posłem.

Dwaj duchowni usunęli się na poufalszą naradę i rozmowę, Opat Anzelm z gorliwością wielką gotował się wstawać w obronie dobroczyńcy swego zakonu.

Tejże chwili posłano na zwiady o pobycie ks. Władysława, o którym mówili jedni, że w Lignicy był, drudzy, że w Opolu, inni że w Głogowie.

Tymczasem los zdarzył, że ks. Marcin proboszcz Miechowski, który z Benedyktynami w ścisłych był stosunkach, bo się za ich wychowańca liczył, znalazł się właśnie w Opactwie Św. Wincentego. Obawiano się, aby schronienie pani Petrkowej nie dosyć było bezpieczne, chciano ją w głąb kraju uprowadzić i skryć gdzieś w miejscu niedostępnem. Ks. Marcin będący naradzie przytomnym, z wielkiego politowania nad losem niewiasty nieszczęśliwej, rzucił tę myśl, aby ją wysłać do Komorowa. Inni natychmiast jej przyklasnęli. Poczęto naglić staruszka, aby na zamek Jaksów towarzyszył niewiastom, był ich przewodnikiem i opiekunem. Ks. Marcin ani chciał ni się mógł opierać.

— Bóg cię natchnął tą myślą szczęśliwą, — zawołał Opat ściskając go. — Któżby mógł odmówić przytułku biednym ofiarom nieludzkiej zemsty? Jedź z niemi, ukryj je! Bóg to nagrodzi! Dopóki się los Palatyna nie rozstrzygnie, niech choć to, co ma najdroższego spocznie w miejscu bezpiecznem. Wieźcie je do Komorowa! powierzcie matce Jaksy! W drodze opieka księdza za pułk cały stanie!

— Ja powiodę je drogami, na których niema niebezpieczeństwa, — odezwał się ks. Marcin, — sam też im będę przodował!

Tak się stało, że pani Petrkowa, której imię i dostojeństwa zataić musiano, drugiego dnia już, pod przewodnictwem ks. Marcina jechała lasami i drogami bezludnemi tam, gdzie najbardziej widzieć ją życzyłby był Jaksa. Opatrzność zdawała się opiekować nim i piękną Błogosławą, wiodąc je na stary gród cichy, do którego burze wojny dojść nie mogły.

IX.

Ranek był, gdy wyprzedzając wozy za nim ciągnące, pod zamek w Głogowie podjechał Dobek, wołając zdala ku stróżom, aby mu wrota otwierano.

Czwałem wpadł na podwórze, z rozognioną twarzą, a choć cały był śniegiem i błotem okryty, nie zdejmując z siebie odzieży, pospieszył do izb, w których mu wskazano mieszkanie księżnej Agnieszki.

Tam ujrzał księcia Władysława na niskiem siedzeniu, otoczonego trojgiem dziatek, uśmiechającego się do swoich chłopiąt; Agnieszkę na podwyższeniu siedzącą przy nich, i zdającą się królować. Zaledwie ujrzała Dobka wchodzącego, z krzykiem się porwała ku niemu. Wiedziała z czem jechał, niecierpliwą była, z czem powraca.

Sama twarz Marszałka już dość o tem mówiła; zdjął hełm z czoła uznojonego, potrząsł włosami długiemi, aby mu się po ramionach rozpostarły i raźno po rycersku przypadł z pokłonem do kolan pana i pani. Władysław patrzał nań zbladły i widocznie pomięszany.

Na naleganie żony nakazał był uwięzić Petrka, ale w duszy, nawykły szanować go, żałował postanowienia, niepokoił się, pocieszając tem, że Dobkowi mogło się nie udać.

Z lica Niemcowi patrzało, iż wiózł pomyślne dla siebie wieści, uśmiechał się, nim przemówił, a gdy nań padło nalegające wejrzenie pani, odezwał się raźno:

— Siedzi Petrek z synem w jamie! Siedzi! Wziąłem go jak lisa w dziurze! Trzymamy go! dzierzym! W naszej mocy teraz ten, co się nam odgrażał!

Książę zbladł bardziej jeszcze i głowę spuścił.

Wtem księżna z podnóżka skoczyła klaszcząc w dłonie, dzikim ogniem zaświeciły jej oczy. Nim słowo się z jej ust dobyło, bić poczęła rękami, podnosić je do góry, śmiać się. Chwyciła się pod boki, przechyliła na wznak, wyrabiała z sobą dziwy, tak ją rozradowała sama zemsty nadzieja. Książę patrzał na nią niemal przelękły.

— Ah! Ah! — odezwała się wreszcie głosem pomięszanym ze śmiechem okrutnym. — Nareszcie! mamy cię złoty ptaszku w klatce! mamy! Odbierzesz teraz na coś zasłużył, ty, coś się to chciał państwem opiekować, ty coś na mnie śmiał bluzgać? A! nie ujdziesz już mi teraz! nie! Wybiła kary godzina, a kara być powinna tak srogą, jak winy twoje.

Książę milczał; Dobek kręcąc wąsa się uśmiechał.

— Jakżeś ty go wziął? — spytał ponuro Władysław. — Nie ujął się zań nikt? nie bronili się?

— Oho! nieśmiał nikt! — zawołał Dobek; — szedłem w imieniu pańskiem, z rozkazem waszym, pod chorągwią waszą! A podszedłem go tak, jak on drugich podchodził. Ho! ho! — śmiał się Dobek, któremu wejrzenie księżnej dodawało odwagi — nie miał czasu drgnąć złoczyńca! Niedomyślał się zbój, co go częka! Nasadziłem zawczasu moich ludzi, wywabiłem bezbronnego, związaliśmy jego, Starostę Rogera i syna. Wszyscy u mnie! Zamknąłem ich na zamku pod dobrą strażą, a sam tu zbiegłem.

— Dobrześ się sprawił — odparła księżna z pośpiechem, nie dając się odezwać mężowi — ale — dodała ciszej — poco go żywić cało, mając raz w ręku?

Władysław wtrącił groźno.

— Życia mu brać nie chcę.

— O! zgnieść żmiję! zgnieść! — przerwała Agnieszka.

— Dość zęby wybić, aby nie puszczała jadu! — odrzekł książę.

— Zęby! nie dość, nie dość! — zakrzyczała księżna śmiejąc się niby, ale z gniewu gorączką. — Oczy, oczy mu trzeba wykłuć co widzą to, czego nie ma na świecie, język uciąć wszeteczny, a w końcu gardło, gardło! Mój to więzień jest, mnie obraził, przeciwko mnie zawinił, ja mu póki żyw nie przebaczę! Krwi mi jego potrzeba! — Wtem obracając się do Dobka i mierząc go iskrzącemi się oczyma, poczęła: — A żona? a córka? a dwór? Coście z niemi zrobili? W perzynę wszystko trzeba było obrócić!

w perzynę! z dymem puścić! Czego było oszczędzać plemię ohydne!

Książę przeląkł się wyrazów żony, niepohamowaną zemstą ziejących i wstał z siedzenia, okazując oburzenie.

Agnieszka zapłoniła się tylko i zawróciła ku ulubieńcowi, który dodał:

— Niewiasty się gdzieś skryły! nie wiem! Pewnie do klasztoru pod opiekę mnichów, a ja do tych klechów iść nie mogłem, bo by mnie wyklęli, i ludby na mnie spędzili. Dwór splądrowano, a co się znalazło, tośmy zabrali z niego.

Nim książę miał czas się odezwać, Agnieszka wołała żywo.

— Coś zabrał, wszystko twoje! książę pan ci to dał! Nie odwoła! Zasłużyłeś na nagrodę, starłszy łeb smokowi temu; najstraszniejszego zbyliśmy się nieprzyjaciela. Teraz pójdzie już raźno wszystko, sieroty bez opiekuna nie wymkną się nam! Połowiemy je po jednemu!

Dobek już się nie księżnie ale Władysławowi pochylił dziękować za podarek, gdy książę ze wstrętem jakimś cofnął się od niego i w okno spojrzał. Przyszły mu na pamięć te godziny, gdy Petrka widywał przy ojcu swym, poufałym gościem, druhem jego serdecznym, gdy on sam, jak inne dzieci królewskie, stawał przed nim z poszanowaniem, widząc w Petrku opiekuna swego. Teraz gdy zemsta przez żonę wymożona, na pół dokonaną została, gniewał się na nią, na siebie, na Dobka i niemal na Petrka, iż wziąć się dopuścił.

Chciał przynajmniej ocalić mu życie.

Księżna widząc to męża usposobienie, skinęła Dobkowi aby precz szedł, a sama zbliżyła się do Władysława, rękę mu kładnąc na ramieniu.

— Cóż cię to za smutek opanował! — spytała szydersko. — Więcej ci tego zbója żal niż mnie, którą on oplwał i znieważył, mnie, matkę twoich dzieci, cesarską siostrę! Żal ci tego nikczemnika? Żal?

Nie było na to odpowiedzi. Pierwszy raz od dni wielu spędzonych w zgodzie, Władysław zszedł jej z oczów milczący i skrył się w izbie swojej.

Gdy się to na zamku działo, Jaksa, dowiedziawszy się o wszystkiem, ku Krakowu się wybrał, prosto do księcia, sprawiedliwości się dopominać.

W drodze się dowiedział, że książę w Głogowie, więc tamdotąd ruszył.

Ale jakież miał ujmować się za nim prawo, będąc zaledwie bardzo dalekim powinowatym, młodym bez znaczenia i niemając od nikogo zlecenia?

Jaksa niemając pozoru nawet przystąpienia do księcia, chwycił się myśli dziwnej. Towarzyszył on już raz Petrkowi na dwór książęcy, widziano go tam w orszaku Palatyna, u jego boku. Wiedział, że Światosław zaswatał był właśnie dziewczę wielkiego rodu, które miał wkrótce poślubić. Zmyślił więc sobie poselstwo, choć nie miał żadnego, i postanowił, jakby o niczem niewiedząc, na dwór się dostać, niby wysłany od Petrka zapraszający księcia na wesele. Dziwna to myśl była, zły pozór, aby się na dwór dostać, ale Jaksa, byle stanął przed księciem, resztę zdawał na wolę Bożą. Chciał mówić, zaklinać, błagać.

W Głogowie, choć dobrem okiem witano ziemian, co się pod książęce chorągwie garnęli, na niego koso spoglądano, bo go do Petrkowych liczyli.

Książę z księżną razem, przyjmował właśnie kilku z okolicy ziemian szląskich, którzy przybyli miłosierdzia prosząc od Połowców, bo o straszliwem ich ciągnieniu słyszeli. Ci nawet, co z księciem trzymali obawiali się tej dziczy, dla której na obcej ziemi nie było różnicy między przyjacielem a wrogiem, łupiono dwory wszystkie, jakie na drodze stały.

Agnieszka z tryumfującym uśmiechem słuchała płaczliwie wynurzanych żalów, obaw i próśb o miłosierdzie.

— Jeżeli się ich obawiacie, — mówiła — a nie chcecie popaść w ich ręce, skupiajcie się do nas, pod książęce chorągwie, a precz wyganiajcie tych, co są wojny przyczyną. Gdy się poddadzą grody, gdy książęta pójdą precz, pokój powróci, odprawiemy Ruś i Połowców.

Kłaniali się płacząc Szlązacy, bijąc w piersi, a lamentując, gdy Jaksa wszedł, na którego się wszystkie obróciły spoj-



SIEROTY. (Obacz wiersz na str. 198).

rzenia. Książę się popatrzał nań, czekając, co powie.

— Z czem przychodzisz! — spytał Władysław.

— Miłościwy książę — odezwał się dławiąc tem, co mówił i pokłon oddając Jaksa. — Palatyna Petrka syn Światosław, ma poślubić Martę Starzankę. Posłano mnie Waszą Miłość prosić o błogosławieństwo i na wesele!

Nie dokończył jeszcze, gdy stojący obok niego Żupan, Leszczyc, odezwał się:

— Co ci jest? co prawisz! azaż nie wiesz, że Petrek z synem już w więzieniu osadzony, ani mu o weselu myśleć!

Jaksa zamilkł spuszczając oczy.

— W więzieniu? — odezwał się ze śmiałością wielką podnosząc wzrok na księcia. — Palatyn Petrek? On? Za cóż człowieka tego, który tylko dobrze czynił, miałby ten los spotkać?

Książę milczał, ale Agnieszka poruszyła się gniewnie, ręką potrząsając.

— Petrek był zdrajcą! — krzyknęła — przeciw panu! przeciw mnie! Łotr jest, życia nie godzien.

To mówiąc, przechyliła się, pięści zaciśnięte podnosząc do góry.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SIEROTY.

Nóżęta bose, sukienki podarte,
Wzrok załzawiony a słodki,
Stoją milczące, o gmach pyszny wsparte,
Biedne dziewczęta-sierotki.

U starszej koszyk zwieszony przez ramię,
Młodsza wyciąga dłoń małą,
Ich wzrok błagalny nie zwodzi, nie kłamie,
Że dolę pędzą zbolałą.

Przed sierotkami płyną ludzi fale,
Każdy pomyka coprędzej,
Lecz na dziewczątka nie spojrzy nikt wcale,
Wszak tyle w mieście jest nędzy!

Aż ktoś przystanął... Był to pan krociowy,
Filozof przytem nielada —
Szkiełko założył, w górę podniósł głowy,
I z oburzeniem powiada:

»Znowu żebractwo? Ohyda i zgroza!
Kąkol ten ciągle się pleni!
Ach, coby na to powiedział Spinoza,
Mill, no i inni uczeni!«

I długo mowa filozofa brzmiała,
Długo z ust miotał gorycze. —
Nagle się zjawia Pani srebrna cała,
Anielsko lśni jej oblicze.

Rzecze do dzieci: »I was promień złoty
Ogrzeje jak grzeje wiara,
Jam ta, co wzrosła na szczycie Golgoty,
Gdy się spełniła Ofiara.«

I Miłosierdzie swym płaszczem okryło
Zgłodniałe, zlękłe sieroty;
W ich oczkach odtąd łez znaku nie było,
Lecz blask do życia ochoty.

. . . .

Nie szkiełko mędrca, ani mądre słowa
Pociechą doli ubogiej,
Lecz co się w księdze Ewangelii chowa,
Skarbnicy świata tak drogiej.

M. S.

GAZETY GÓRNOSZLĄSKIE.

(Z PORTRETEM KAROLA MIARKI).

W roku bieżącym przypada dla piśmiennictwa naszego podwójny jubileusz; 50 lat upłynęło od czasu, gdy powstała pierwsza gazeta polska na Szląsku i 25 lat od założenia »Katolika«, który dzisiaj jest najstarszą i najpoważniejszą z gazet górnoszląskich. Słuszna więc podać przynajmniej krótkie wiadomości o czasopismach naszych, ich powstaniu i rozwoju.

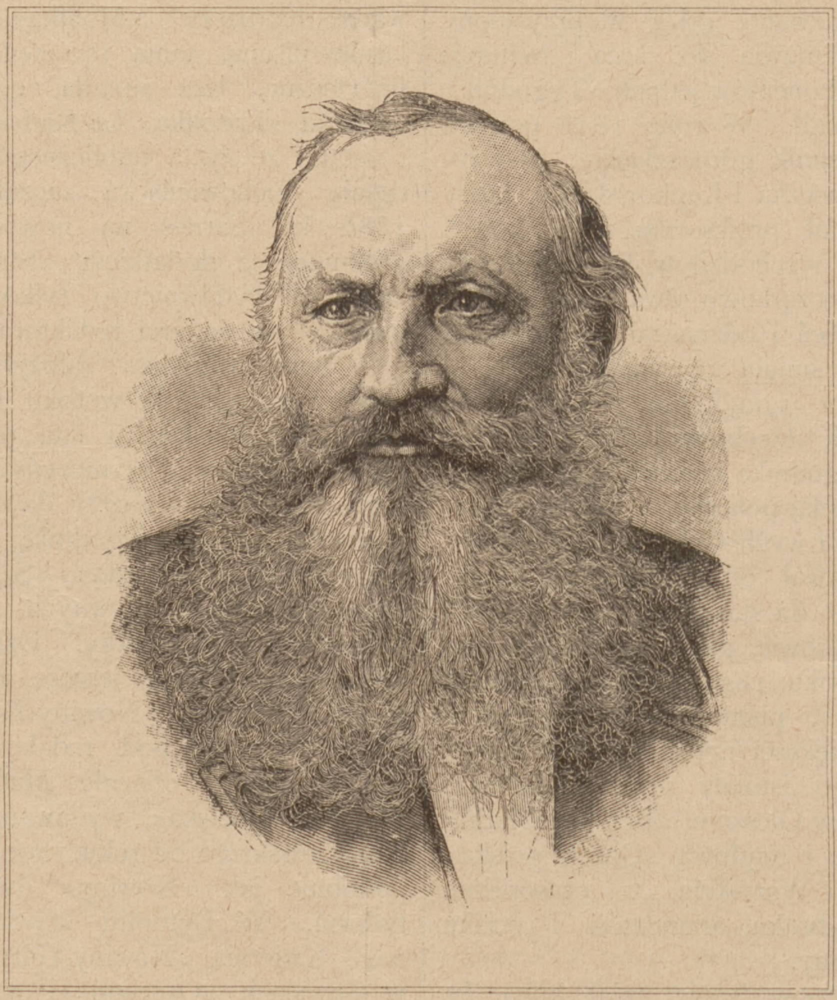
Pierwszą gazetą, o ile nam wiadomo, był »Tygodnik polski, poświęcony włościanom.« Wydawał ją Szmel, nauczyciel ewangelicki w Pszczynie, od roku 1842—1846. Po upadku »Tygodnika« redagował Szmel w roku 1848 pismo gospodarskie »Tygodnik górnoszląski.« Równocześnie założył szlachetny ks. Bogedain, radzca regencyjny w Opolu a zarazem szczery przyjaciel ludu polskiego, pismo polityczne, także »Tygodnikiem« nazwane, gdzie w przystępny sposób przemawia do serca i rozumu; dla braku abonentów jednak »Tygodnik« wkrótce upadł. W roku 1848 powstał także »Dziennik górnoszląski«, pod redakcyą Heneczka i Łepkowskiego, który później został profesorem w Krakowie. »Dziennik« wychodził w Piekarach i w Bytomiu początkowo dwa razy, potem raz na tydzień i odznaczał się doborem artykułów i śmiałą obroną narodowości polskiej, lecz zginął już po 2 latach. Ks. kanonik Ficek w Piekarach uznał potrzebę tygodnika katolickiego, któryby mniej o wysoką politykę, a więcej o sprawy religijne i wychowanie ludu się troszczył, i wydawał od roku 1849 »Listy Maryańskie.« Za staraniem zacnego dziedzica z Wilkowic, pana Kosickiego, wychodził od roku 1851—1853 »Poradnik górnoszląski«, pismo miesięczne, tłómaczone po większej części z niemieckiego. Oprócz tego istniały przez krótki czas »Telegraf« w Oleszni, »Przyjaciel ludu« w Pszczynie i rządowa »Gazeta polska« w Opolu. Wszystkie te czasopisma ustały dla braku abonentów i ucisku z obcej strony.

Lepsze powodzenie miał kilka lat później »Zwiastun górnoszląski« w Piekarach wydawany od roku 1868 przez Heneczka i ks. Purkopa; gdy Miarka objął jego redakcyą, liczba przedpłacicieli w kilku miesiącach wzrosła na 3300. Miarka przeniósł się od 1 Kwietnia 1869 do Królewskiej Huty i zakupił »Katolika« od Józefa Chociszewskiego z Chełmna. Mimo wszelkich przeszkód i ciężkich prześladowań zjednał sobie »Katolik« mianowicie podczas walki kulturnej więcej niż 8 tysięcy abonentów i licznych korespondentów. Liczba abonentów rosła i rośnie z każdym rokiem. W drugim kwartale 1892 drukowało się »Katolika« 13,300 egzemplarzy. Od roku 1881 wychodzi dwa razy na tydzień a od 1 Października 1892 zacznie wychodzić trzy razy. »Katolik« dołączał jako bezpłatne dodatki »Bogarodzicę« »Rodzinę« i »Poradnik gospodarczy.« Miarka wydawał od roku 1876—1881 także »Monikę«, tygodnik poświęcony wychowaniu młodzieży. »Monika« była popularnie pisaną, tanią (50 fen.) i bardzo pożyteczną, lecz upadła, gdy Miarka sprzedał »Katolika« ks. Radziejewskiemu i ustąpił ze życia publicznego. Na życzenie duchowieństwa zaczął w roku 1886 ks. Sarnes na nowo wydawać »Monikę« z dodatkiem »Stróż Anioł«, lecz i to wydawnictwo tylko się utrzymało aż do śmierci redaktora (1889).

Obok »Katolika« założył ks. Franciszek Przyniczyński w roku 1873 »Gazetę górnoszląską i 4 lata później brat jego, Stanisław Przyniczyński »Postęp rolniczy«. Obie gazety dawno upadły. Rozmaite mniejsze tygodniki, mianowicie starokatolicka »Prawda« i »Szlązak«, organ wolnokonserwatywnych magnatow, w krótkim czasie upadły. Dzisiaj oprócz »Katolika« istnieją jeszcze następujące pisma polityczne: »Nowiny Raciborskie« od roku 1889 pod redakcyą Rostka, Rzepeckiego i obecnie Maćkowskiego. »Gazeta Opolska«, wydawana przez B. Koraszewskiego od roku 1890, wychodzi podobnie jak »Nowiny« dwa razy na tydzień. W Bytomiu »Gwiazda« i od 1-go Kwietnia »Nowiny Górnoszląskie«; w Gliwicach »Opiekun« i w Raciborzu »Gazeta górnoszląska ludowa«. Dla protestantów były przeznaczone »Nowiny szląskie« w Wrocławiu, drukowane niemieckiemi literami, ale z końcem przeszłego roku wychodzić przestały. Sprawami ekonomicznemi zajmował się »Poradnik gospodarczy« p. Miarki od roku 1871—1873 i 1879—1881; dla górników i hutników wychodzi od 1-go Kwietnia 1890 r. »Praca« w Bytomiu. Związek włościański wydaje dla swych członków osobny »Miesięcznik.«

Z pism religijnych są najwięcej rozpowszechnione tanie i doborowe »Intencye miesięczne« z Krakowa, które na Szląsku mają kilkadziesiąt tysięcy abonentów. Oprócz tego wydawał ks. Nerlich w Popielowie przez pewien czas »Miesięcznik na cześć Przenajświętszego Sakramentu«, ks. Korpak »Roczniki św. Grobu« i Karol Miarka w Mikołowie miesięcznik »Zdrowaś Marya« 1886 do 1891 roku.

Wypada jeszcze wymienić pisma naukowe i ilustrowane. Pierwsze miejsce co do powstania i znaczenia zajmuje »Światło«, wychodzące od r. 1887, nakładem wydawnictwa »Katolika«. Równocześnie ukazały się w Mikołowie »Wolne Chwile«, lecz już po roku zgi-nęły. Natomiast wydaje Miarka od roku 1891 »Misyonarza katolickiego« pod redakcyą ks. dr. Chrząszcza. *J. Piast.*



KAROL MIARKA.

Karól Miarka był najdzielniejszym redaktorem na Szląsku, a w ogóle mężem wielkich zdolności i zasługi. Póki o Górnym Szląsku mówić i pisać będą, imię Karola Miarki musi być wspomniane, ponieważ żył i pracował dla sprawy ludu katolicko-polskiego na Szląsku. Celem jego pracy było podnieść lud górnoszląski wysoko za pomocą religii, nauki i oświaty. A ponieważ wiedział, że żaden lud nie dojdzie wysoko, jeżeli nie stanie na prawie przyrodzonem Boga, jeżeli nie zachowa i nie pielęgnuje na-

tury przez Boga mu danej, jeżeli nie dba o język ojczysty, dla tego Miarka pracował nad tem, aby lud górnoszląski zachował religią katolicką, język polski, aby nabywał oświaty, skupiał się przez zgodę i miłość wzajemną, przez stowarzyszenia.

Środkiem do tego celu była gazeta, »Katolik«. Z tej gazety jakoby ze źródła, płynącego ze ziemi ojczystej, lud górnoszląski wiele dobrego i pożytecznego dla ducha i ciała czerpał i czerpie.

Karól Miarka był najstarszym synem nauczyciela w Pielgrzymowicach, a urodził się 24 Października 1824. Matką jego była Karolina z Borówków. Gdy w chłopcu spostrzeżono wielkie zdolności, chciano go wykształcić na księdza, ale rodziców, którzy jeszcze 17 dzieci mieli, nie stać było na taki koszt. Poszedł tedy uczyć się na nauczyciela.

Miarka umiał wprawdzie z domu po polsku, lecz miłości do języka ojczystego i narodu swego wówczas jeszcze nie miał; myślał i mówił po niemiecku. I on wtedy sądził, że »Polak« tyle znaczy, co niewykształcony prostak, chłop.

W roku 1850 został nauczycielem i to po śmierci ojca w Pielgrzymowicach, gdzie aż do 2 Lutego 1869 przebywał. Nauczycielem był znakomitym, dla współbraci uczynnym, dla gminy doradzcą i przyjacielem. Już wtenczas chwytał za pióro i pisywał do gazet, lecz do niemieckich. Czytał wiele, nauczył się po łacinie, tylko o polskim języku i książkach nie myślał, gdyż wówczas jeszcze się Miarce zdawało, że lud będzie szczęśliwy, jeżeli przestanie być takim, jakim go Bóg stworzył, to jest polskim, a stanie się takim, jakim go ludzie tego świata zrobićby chcieli, to jest niemieckim. Jakież to zaślepienie! Sprzeciwiać się prawu Boga przyrodzonemu, sprzeciwiać się naturze, wywracać porządek Boski, więcej zważać na sprawy ludzkie i wolę i urządzenia ludzkie, aniżeli na wolę Boga; — to wszystko nie może prowadzić ludu do szczęścia doczesnego i wiecznego.

Bóg zdjął z oczu Miarki to zaślepienie, dał mu poznać, czem sam być powinien i jak lud ma prowadzić. Otworzył mu oczy, aby on innym je otwierał, mianowicie ludowi, u którego rozum prostszy, wola lepsza, w sercu mniej namiętności, aniżeli u ludzi wyżej w świecie postawionych.

Do tego przyczynili się dwaj bardzo zacni mężowie: ks. Bogedain, który jako radzca szkólny, rewidując szkołę Miarki, przemówił do niego po polsku i redaktor »Gwiazdki Cieszyńskiej«, Paweł Stalmach. Ks. Bogedain zachęcił go do kształcenia się w języku polskim. Miarka usłuchał tego wezwania i talent jego teraz dopiero na dobre się obudził, skoro natura słowiańska została pobudzona, skoro poznał i pokochał język ojczysty. Tak bywa bowiem, że bez języka ojczystego człowiek i w sercu i rozumie jest niedokładnym, że mu czegoś brak. Zaczął pisać powiastki dla ludu.

Pisać, jak pisać, ale Miarce chodziło o to, aby dobrym językiem pisać. W tem mu dopomógł Paweł Stalmach, poprawił jego pisanie, a zarazem zapoznał go z książkami polskiemi. Około roku 1861 przybył też znany i do dziś żyjący znakomity pisarz ludowy, Józef Chociszewski do Miarki. Od niego też się Miarka wiele nauczył.

W roku 1868 wydawał ks. Purkop w Piekarach »Zwiastuna«, a nie miał zdatnego redaktora. Ks. biskup Włódarski polecił mu Miarkę i odtąd tenże pisywał artykuły, pozostając jeszcze na posadzie nauczycielskiej. Później zrzekł się posady i cały się poświęcił pracy redaktorskiej.

Wtedy mówili mu ludzie, że na biedę idzie. I zaiste szedł na biedę, kłopoty i walkę, bo Miarka nie chciał milczeć na krzywdy ludu, nie chciał chwalić tego, co rząd z ludem robił, lecz w »Zwiastunie« stanął w obronie praw ludu. Kilka takich artykułów sprawiło, że wydawcy »Zwiastuna« polękli się i Miarki się pozbyli, który dwa następujące lata w wielkiej biedzie przebył.

5-go Kwietnia 1869 wydał z Król. Huty pierwszy numer »Katolika« na Szląsku, nabywszy to pismo od Józefa Chociszewskiego. Odtąd zaczęła się

wielka walka Miarki z nieprzyjaciołmi ludu polskiego i praca nad dobrem ludu. Miarka nie lękał się pisać ostro przeciw rządowi. Za to posypały się procesy, kary, więzienia na niego. Mimo to nie ustał i za jego staraniem lud zaczął obierać katolików na posłów. Próbowano też, czy go przekupić nie pójdzie; ofiarowano mu 30 tysięcy talarów na 5 lat; a oprócz tego za każdego posła rządowego po 2 tysiące. Za to żądano, ażeby »Katolik« nie pisał o wyborach, ani przeciw Niemcom. Miarka odrzucił tę pokusę; wolał pozostać biednym, lecz sprawiedliwym. Wtedy tem liczniejsze spadły na niego procesy i kary. Był czas, że nie przeszedł tydzień, aby w redakcyi rewizyi nie było, albo aby redakcya jakiego procesu nie miała. Czasem dwóch redaktorów siedziało w więzieniu, albo jeden wychodził a drugi przychodził.

Zasługi »Katolika« i Miarki podczas walki kulturnej są wielkie. Wtedy gdy biskupi i kapłani milczeć musieli we wielu sprawach, »Katolik« mówił, pouczał, przypominał prawdy i prawa Boże, ostrzegał, pokazywał fałsze i błędy i lud prowadził. Podczas tej walki Miarka i inni redaktorzy »Katolika« wiele wycierpieć musieli. Ogółem przesiedział Miarka 3 lata w więzieniu.

Przy pracy redaktorskiej jeszcze mu zbyło czasu na działanie w towarzystwach, związkach rozmaitych, o czem się tu nie pisze, bo chodzi tu dziś tylko o pokazanie Miarki, jakim był **redaktorem**.

Więzienia i kłopoty zniszczyły zdrowie Miarki. Po odsiedzeniu kar sprzedał »Katolika« ks. lic. Radziejewskiemu, a sam wyprowadził się do Cieszyna, gdzie zmarł 15 Sierpnia 1882 w 58 roku życia.

10 lat kryje mogiła zwłoki wielkiego Górnoszlązaka, ale ziarno przez niego zasiane, wydaje dobre owoce. Gdyby Miarka dożył do obecnego czasu, jakżeby się cieszył ze skutków swojej pracy i jakżeby Bogu za błogosławieństwo dziękował!

Gdy się święci 25 rocznica istnienia »Katolika«, uznała redakcya »Światła« za słuszne przypomnieć Polakom a mianowicie Polakom szląskim wielce zasłużonego redaktora tegoż pisma i poleca duszę jego pobożnemu ich westchnieniu.

O KOŚCI SŁONIOWEJ.

Niewiele artykułów handlowych doznało w ostatnich latach takiego podrożenia, jak te, których nam dostarczają największe zwierzęta ssące, słoń i wieloryb, to jest kość słoniowa i fiszbin. Zapotrzebowanie obu artykułów wzmaga się z dniem każdym, dowóz zaś ciągle się zmniejsza i ztąd to ceny ich poszły i wciąż jeszcze idą w górę. Roczna dostawa fiszbinu spadła już o tyle, że zaledwie jednę piątą część popytu zdolna zaspokoić, a jeżeli popyt na kość słoniową pozostanie tak ożywionym jak dotąd i jeżeli polowanie, czyli raczej tępienie słoni potrwa z tą samą gorączkowością jeszcze z jakie 20 do 30 lat, to i słoniowa kość pójdzie śladem fiszbinu. Fiszbin i kość słoniowa są zaś dwiema takiemi rzeczami, które uczeni nadaremnie się kusili czem innem w zupełności zastąpić.

Fiszbin, jak wiadomo, nie jest niczem innem jak wyrobem z rogowych narośli w paszczęce wieloryba, zastępujących zęby i służących do przeżuwania pokarmu. Zupełnie wyrosły wieloryb północny czyli grenlandzki dostarcza przeciętnie 1500 do 1600 kilogramów fiszbinu, wieloryb południowy zaś, będąc mniejszej budowy, znacznie mniej. Szkoda tylko, że skutkiem nierozumnego, długoletniego i z całą zapalczywością prowa-

dzonego łowienia dziś wieloryby, a mianowicie północne, są prawie rzadkością, a należy zważyć, iż wieloryb wyrosły zupełnie ma około 100 lat i pleni się bardzo trudno. Natomiast kość słoniowa pochodzi, jak dziś chyba każdemu wiadomo, z obu kłów słoni, których dzisiaj mamy tylko dwa gatunki, t. j. słoni azyatyckich większych i mniejszych a dzikszych afrykańskich. Atoli Azya dostarcza tylko mało własnej kości słoniowej i do tego w pośledniejszym gatunku, bo o zbyt miękkiej i gruboziarnistej strukturze, do artystycznych rzeźb więc, jakie wykonują w Wschodnich Indyach, Chinach i Japonii, sama jeszcze sprowadzać musi takową z Afryki. Ta część ziemi zatem jest głównem źródłem, skąd się obecnie sprowadza tak zwaną świeżą (czyli zieloną) kość słoniową, tak nazwaną dla odróżnienia od kości kopalnej, która pochodzi z kłów przedpotopowego mammuta, zaginionego dzisiaj a znacznie większego od żyjących rodzaju słoni, znajdowanego dość często w północnych stronach Europy, a mianowicie Azyi. Kość kopalna jest po większej części prawie nie do użycia i, o ile nam wiadomo, posiada też rzadko jaką inną wartość oprócz tej, że jest jakoby skamieniałą pamiątką z czasów, które przebieg kilku tysięcy lat w tak grubą pomrokę uwinął, iż umysł ludzki z trudnością jej nieco uchylić i po za nią spojrzeć zdolen. Wyjątkowo znaleźli po raz pierwszy w roku 1807 tunguzcy rybacy przy ujściu rzeki Leny w Sybirze egzemplarz mammuta, który że spoczywał wieki całe w lodzie, tak był dobrze zachowany, iż posiadał jeszcze skórę i sierść i znakomicie utrzymane kły, daleko większe od tych, jakie się spotyka u słoni dzisiejszych. Wypadek miał ten skutek, że zaczęto pilnie poszukiwać mammutów w całym północnym Sybirze, już z tego względu, że muzea za wygrzebane kościotrupy znaczne płaciły sumy. Poszukiwania te nieraz się dobrze opłaciły i spowodowały po prostu handel kością słoniową kopalną (czyli niebieską). Jak jednak już się powiedziało, mimo dobrego zachowania wnet przestano obrabiać kość kopalną, a to dla nieczystego i nieładnego koloru i łatwości, z jaką pęka, co naturalnie wartość jej bardzo obniża.

Kość słoniowa biała, jaką się zwykle widzi, pochodzi więc prawie wszystka z Afryki. Od roku 1857 do roku 1876 wynosił roczny wywóz 774,000 kilogramów; z tych przewieziono do Europy 614,000 kilogr., do Indyi 100,000 klgr. i wreszcie 60,000 kilogr. do Ameryki. Kość słoniowa jest dotąd w ogóle najdrogocenniejszym z produktów tej części ziemi i jak się zdaje, będzie jeszcze na długi czas najpokupniejszym artykułem handlowym w koloniach, które tam państwa europejskie, a także i Niemcy posiadają.

Naturalnie i tutaj nie spotyka się wszędzie słoni. W Kaplandzie, to jest najwięcej na południe wysuniętym końcu Afryki, słonie już zupełnie powymierały, tak samo i po za 15 stopniem północnej szerokości czyli dalej jak o 225 mil geograficznych mil na północ od równika. Środkowa jednak Afryka, szczególnie w okolicy wielkich jezior i rzek, obfituje jeszcze bardzo w największe żyjące obecnie na stałym lądzie zwierzęta ssące, jakiemi są słonie. Kość słoniowa i niewolnicy do dziś dnia stanowią całe bogactwo tamtejszych krajowców. Znawcy rozróżniają dwa gatunki kości słoniowej, jeden delikatny i drobny, jaki się znachodzi na wybrzeżu wschodniem, i drugi twardy z wybrzeża zachodniego. Dwa te wybrzeża i pod innym względem różnią się bardzo od siebie. Wybrzeże wschodnie jest już więcej niż od tysiąca lat dobrze znane półcywilizowanym narodom azyatyckim Arabów, Persów i Indów, którzy w interesie handlu zapuszczali się i zapuszczają się nieraz aż do wnętrza tak mało jeszcze znanej Afryki, podczas gdy narody europejskie dopiero o setki lat później do wybrzeża zachodniego dotarli i tamtejsze wojownicze szczepy poznali. Z tego też powodu daleko łatwiej znaleść tam pewnych przewodników do wnętrza Afryki, daleko lepszemi i wygodniejszemi są drogi handlowe i w dalszem następstwie także dowóz kości słoniowej

znacznie jest większy, niż na wybrzeżu zachodniem. Po licznych a szczegółowych badaniach podróżników europejskich dowiedziano się też dopiero teraz, dzali. Dobry znawca bowiem dziś umie i może, pomimo iż tamtejszych stron wcale nie oglądał, zupełnie na pewno rozróżnić po właściwościach wewnętrz-



ŻYWY MOST. (Obacz objaśnienia rycin na str. 208.)

że większa część słoniowej kości, dowożonej z Indyi do Europy, nie pochodzi wcale z Azyi, tylko że indyjscy kupcy takową w Afryce zakupywali i przez Indye Wschodnie do Europy sprowa-nych i zewnętrznych kości słoniowej w jakim klimacie i na jakiej ziemi wyrosły słonie, których kły ma przed sobą. Ogólną bowiem, zupełnie pewną i doświadczeniem stwierdzoną zasadą jest, że

z bardzo małymi wyjątkami kły słoni z wybrzeża zachodniego są regularnie mniejsze, zgrabniejsze, mniej masywne, ale twardsze i przejrzyste, podczas gdy kły słoni z wschodnich okolic Afryki są bielsze, nieprzejrzyste i drobnoziarniste. A już znawca, co się nazywa, to pozna nawet po kłach, czy słoń zabity żył na północ czy na południe od zwrotnika i czy bliżej lub dalej od wybrzeża. Rozpoznanie tego ułatwia bowiem także i to, że na wybrzeżu wschodniem na północy od równika zdobywane kły większej objętości dochodzą do 50 kilogramów ciężkości, a w kierunku południowym i południowo-zachodnim takowe prawie nigdy nie przenoszą 30 kilogramów. Tedy i owedy słychać o kłach mających 150 kilogramów wagi, — są to jednak — dziś przynajmniej — nadzwyczaj rzadkie okazy. Pewien badacz, którego ulubionemi były badania nad słoniami i kością słoniową i przez którego ręce w przeciągu wielu lat przeszło więcej niż milion kłów, zapewnia, że najcięższy kieł, jaki kiedykolwiek widział, ważył 94 kilogr.

Najbliższem dla europejskich okrętów miastem portowem, z którego znaczniejsze ilości tego cennego artykułu do Europy przechodzą, jest Tripolis. Tamdotąd dowożą kość słoniową w regularnych odstępach karawany na wielbłądach z krain Haussa i Bornu. Karawany te są nieraz pięć miesięcy — a najmniej jeden miesiąc — w drodze ku wybrzeżu, a że ładunek kości słoniowej co wieczór się zdejmuje i co rano znowu nakłada, przeto traci towar przeciętnie około 30 procent na wartości. Transport łodziami i parowcami rzecznymi wymagałby co prawda daleko mniej czasu i pieniędzy i byłby korzystniejszym, bo kość słoniowa nie podlegałaby tak często uszkodzeniu przez składanie i nakładanie, trudno atoli tak prędko od wieków używane drogi i sposoby handlowe zmienić. Przez Tripolis wywożono rocznie w latach 1879—93 przeciętnie 18,600 kilogramów, a odtąd dowóz się jeszcze cokolwiek podniósł.

Wywóz kości słoniowej z Egiptu jest także wcale niepośledni. Dawniej było siedliskiem handlu kości słoniowej Kairo, dokąd ją z Chartumu sprowadzano, dopóty handel ten był monopolem czyli wyłącznym przywilejem rządu. Odkąd monopol zniesiono, ma rząd tak w Arabach, jak i w Europejczykach skrzętnych współzawodników. Roczny wywóz egipski wynosi w ogóle 148,000 kilogr. w wartości blisko 3 milionów franków (prawie 2½ miliona marek), z których 83,000 kilogr. pochodzi z krain Bahr-el-Ghasal i Darfur, a 65,000 kilogramów z krainy Bahr-el-Dżedal i okolic nad równikiem położonych. Suakim, miasto portowe Sudanu, i Massauah, miasto portowe Abesynii nad morzem czerwonem, dostarczają rocznie do 19,000 kilogr.

Handel kością słoniową na całem wybrzeżu wschodniem aż do Zanzibaru spoczywa już od wieków w rękach kupców arabskich i indyjskich, dziś jednak już nie tak wyłącznie jak przedtem, mianowicie od czasu, jak państwa europejskie wzięły sobie za zadanie przeszkadzać na wszelki sposób i wszystkiemi siłami niegodnemu handlowi niewolnikami. Do tego przyczyniło się także i to, że we Wschodniej Afryce daleko rzadszym jest dziś okaz słonia niż ongi. Mimo to zajmuje Zanzibar wciąż jeszcze pierwsze miejsce co do wywozu kości słoniowej, który wynosi rocznie 190,000 kilogr. w wartości 5 milionów franków (4 mil. marek.) Kości tej dostarczają mianowicie 4 miasta portowe: Bagamoyo, Sadani, Pangani i Mombas. Dawniejszymi dostawcami byli handlarze niewolników, którzy kość słoniową odkupowali od tamtejszych krajowców porówno z niewolnikami. Biedacy ci musieli nieść na ramionach swych kły słoniowe aż do miast portowych, gdzie potem i kość i niewolników sprzedano, o ile ci ostatni nie zginęli poprzednio od zmęczenia i pragnienia wśród drogi, lub o ile ręka bezlitośnych oprawców handlarzy nie odebrała im przedwcześnie życia. Odkąd handel niewolnikami ograniczono — bo usunąć go zupełnie dotąd nie zdołano — jest transport kości słoniowej droższym i uciążliwszym.

Nieomal wszystka kość słoniowa

z targów w Zanzibarze zostaje wywożoną do Londynu od prawie 50 lat, a warto przytem zaznaczyć, że cena tego artykułu znacznie podrożała. W latach 1841—50 sprzedawano wielkie kły słoni w Zanzibarze po 660 franków (528 marek) za centnar = 50 kilogr., od 1850—60 po 900 franków (720 marek.) W roku 1872 była kość słoniowa najdroższa, bo centnar jej kosztował 1650 franków (1320 marek), poczem znowu staniała.

Ogółem dostarczała Afryka w latach 1879 do 1883 w przecięciu rocznie 840,000 kilogr. kości słoniowej, i to 564,000 kilogr. wybrzeże wschodnie, 284,000 kilogr. wybrzeże zachodnie. Wartość całej tej masy dochodzi do 22 milionów franków (17,6 mil. marek). Rok w rok zabijano zatem około 65,000 słoni jedynie w celu zdobycia ich kłów drogocennych na sprzedaż, a ilu zabito, których kły sami krajowcy spotrzebowali, tego nikt chyba nie policzy; to tylko pewna, że i tych liczba nie mała.

Smutny to znak bezwzględności ludzkiej, tem smutniejszy, jeżeli rozważymy, że prowadzi wprost do zagłady całego rodu słoni, bo jak zaznaczyliśmy już na początku, polowanie na słonie już dzisiaj nie jest niczem mniej ani więcej, jak tępieniem bezwzględnem. I nastanie czas, w którym zwierzęta te żyć będą tylko jeszcze w podaniu, w opisach i obrazkach z minionych czasów, jak tyle innych, które już padły ofiarą, — można powiedzieć — chciwości ludzi.

Na tem zakończam najgłówniejsze wiadomości co do miejsca pochodzenia i dowozu kości słoniowej, zamawiając sobie na przyszłość, jeżeli miejsce pozwoli, kilka stronnic do opisu sposobu obrabiania i użytkowania tak cennego materyału, jakim jest kość słoniowa.

PODRÓŻ BALONEM.

(Ciąg dalszy.)

Zaledwie balon ku dołowi lecieć począł, zakrzyknął Fergusson, który zimnej krwi nigdy nie tracił:

— Wyrzucać balast!

Józef wyrzucił w kilku sekundach wszystkie bryły złota, wcale się teraz nie namyślając.

— Ciągle jeszcze spadamy... Wyrzućcie kisty z wodą!... Spadamy na jezioro!...

Józef wyrzucił. Fergusson wychylił się z łodzi i widział, jak lecą ku wodzie jeziora. Mógł rozróżnić, jak krzewy i przedmioty na jeziorze pływające, coraz większe się stawały; balon nie mógł być dalej od wody oddalony, jak na 200 stóp.

— Wyrzućcie wszystką żywność!

Kista z żywnością powędrowała w dół i plusnęła w jezioro. Szybkość lotu balonu zmniejszyła się, ale nie ustała; ciągle jeszcze spadali.

— Wyrzućcie jeszcze więcej! — wołał Fergusson.

— Nie ma już niczego, cobyśmy wyrzucić mogli — odrzekł p. Ryszard.

— Owszem! — odezwał się Józef i nie wiele myśląc; przewinął się przez krawędź łódki i skoczył w dół.

— Józefie! Józefie! — zawołał przerażony Fergusson, ale Józefa już nie było.

Ledwie Józef wyskoczył, gdy balon począł się podnosić w górę i niezadługo już był na jakie 1000 stóp w powietrzu.

Wiadomo, że balon składał się z dwóch balonów, większego i mniejszego, mniejszy znajdował się wewnątrz większego. Gdy sępy większy podarły, utrzymywał tylko mniejszy podróżników w górze, a że ten był słabszy, dla tego mniej ciężaru mógł unieść.

Fergusson i Ryszard siedzieli jakiś czas, jak martwi, milcząc.

— Zginął! — rzekł Ryszard.

— Tak jest zginął, poświęciwszy swoje życie za nas! — dodał Fergusson.

Z oczu tych nieustraszonych mężów pociekły łzy rzewne nad stratą sługi

i przyjaciela. Wychylali się z łodzi, czy nie zobaczą jakich śladów nieszczęśliwego, ale napróżno patrzeli.

— Cóż teraz poczniemy? — zapytał Ryszard.

— Będziemy się starali wylądować jak najprędzej, a potem czekać! — odrzekł Fergusson.

Po jeździe 60 milowej napotkali na północnym brzegu jeziora Czadzkiego dobre miejsce do wylądowania. Przytwierdzili kotwicę do drzewa i stanęli na noc. Żaden z nich jednak oka nie zmrużył.

Na drugi dzień rano, — było właśnie 13 maja — rozejrzeli się obaj podróżnicy w około. Znajdowali się jakby na wielkiej wyspie, leżącej wśród ogromnych moczarów. Wyspę otaczało sitowie tak wysokie, jak drzewa. Z trzech stron mieli te błota, które ich strzegły przed nagłą napaścią, z czwartej strony jezioro, na którem, jak oko sięgło, wysepki żadnej widać nie było.

Obaj przyjaciele nie mieli dotąd odwagi mówić z sobą o losach Józefa. Teraz p. Ryszard tak się odezwał:

— Może Józef jednak nie zginął. Jest on bardzo zgrabny a pływać potrafi, jak ryba. Mam takie uczucie, że my go jeszcze zobaczymy, choć niewiem, kiedy i gdzie. Jednakże nie zaniedbamy niczego, aby mu dać o nas znać.

— Oby to Bóg sprawił, — odrzekł Fergusson. — Uczynimy wszystko, co podobna, ażeby go znaleść. Przedewszystkiem jednak musimy uporządkować balon, a mianowicie usunąć podarty wierzchni balon i dokładnie obliczyć, ile mniejszy balon uniesie.

W ciągu trzech godzin zdołali to wykonać. Przekonali się, że wewnętrzny, mniejszy balon był cały. Balon stał się teraz o piątą część mniejszy. Ryszard zapytał:

— Czy wystarczy?

— Nie bój się, — uspokoił go Fergusson, — wszystko tak uszykuję, że będzie dobrze. Mianowicie też obmierzę balast (ciężar) tak, aby było w balonie miejsce dla Józefa, gdy go znajdziemy.

— Przypomina mi się, — odezwał się Ryszard, — że w owem miejscu, gdzie Józef wyskoczył, była wyspa.

— I ja sobie o tem przypominam, — przywtórzył mu Fergusson, — ale się obawiam, że na tej wyspie mieszkają, jak na innych tego jeziora, rozbójnicy i zbóje. Co się stanie z naszym biednym Józełkiem, jeżeli wpadnie w ich ręce?

— Ja myślę, — odrzekł prawie z uśmiechem pan Ryszard, — iżby to jeszcze najgorszy los nie był, bo Józef sprytny, przebiegły, dowcipny, umie sobie radzić, to się pewnie zbójom jako wykręcić potrafi.

— I ja tak myślę. Teraz, kochany Ryszardzie, wyjdź na polowanie, bo nasza żywność w jeziorze leży i bardzo małoco nam pozostało. Ja zaś będę szykował balon.

Tak się stało.

Dzień upłynął, zanim balon znów był w zupełnym porządku. Fergusson tak go urządził, że tyle ciężaru (piasku) więcej do niego włożył, ile Józef ważył; gdyby Józefa znów do balonu wzięli, toby ten balast wyrzucili.

Ryszard wrócił też dopiero pod wieczór z polowania, niosąc bardzo wiele różnego ptastwa, dzikich gęsi, kaczek, bekasów i zaraz się zabrał do wędzenia tychże na wieczerzę i na zapas.

Posiliwszy się, spoczęli; jeden spał, drugi czuwał. Czuwającym zdawało się, że w ciszy nocnej słyszą głos Józefa, o ratunek wołającego.

Rano zaczęli nad tem radzić, coby ku ratunkowi Józefa uczynić.

— Przedewszystkiem musimy mu dać znać, gdzie jesteśmy, — rzekł Fergusson.

— Zgoda na to, — odparł Ryszard, — lecz w jaki sposób to uczynimy?

— Wsiądziemy w łódkę balonu i puścimy się nad jezioro. Wiatr jest właśnie do tego bardzo pomyślny. Cały dzień będziemy krążyli nad wodami. Józef wie o tem, że go nie opuścimy, więc będzie nas wyglądał.

— Jeżeli jest sam i wolny. Ale gdy się w niewoli znajduje?

— To nic nie szkodzi. Tutejsi ludzie nie zamykają więźniów, lecz związawszy trzymają ich na dworze. Może Józef będzie mógł dać nam znać o sobie.

— Jeżeli jednak niczego nie spostrzeżemy, ani też Józef znaku nam nie da?

— Wtedy będziemy krążyli nad północnym brzegiem jeziora, do którego Józef, jeżeli wyjdzie, jedynie wyjść może. Nie zaniedbamy niczego!...

— Naprzód tedy! — zawołał Ryszard.

Zapakowawszy żywność, nabrawszy dosyć wody, wyjechali o siódmej godzinie rano. Balon leciał dobrze i wzniósł się na 200 stóp w górę. Tu stanął na chwilę, okręcił się kilka razy, a potem puścił się z wiatrem. Niezadługo tak się rozpędził, że 20 mil angielskich na godzinę leciał.

Fergusson trzymał go ciągle na wysokości 200 do 500 stóp, od czasu do czasu w dół go spuszczając, to znów w górę podnosząc. Lecieli nad wyspami, zagajeniami, wszędzie patrząc bacznie. Ryszard strzelał co chwilę z karabinu w nadziei, że go Józef usłyszy. Wszystko nadaremnie!...

Do 3 godziny po południu tak krążyli nad jeziorem, więcej na to bacząc, aby Józefa wyśledzić, niż na wiatr, który ich ciągle na południe gnał.

To było nie po myśli Fergussona.

— Musimy się wrócić, — rzekł — bo by nas wiatr za daleko zapędził.

Teraz zaczęło się szukanie stósownego wiatru w górze. W wysokości 1000 stóp znaleźli go i poczęli znów lecieć wstecz, smutni i zakłopotani.

— A może krokodyle... — szepnął p. Ryszard.

Ciarki przeszły ich obu na myśl, że krokodyle pożarły Józefa. Fergusson pocieszył przyjaciela i siebie słowami:

— Krokodyle trzymają się zwykle w pobliżu wysep, a Józef wie o tem dobrze i zgrabny jest, aby im pod zęby nie wchodzić. Zresztą krokodyle w tem jeziorze nie są tak niebezpieczne. W niektórych okolicach kąpią się dzicy między krokodylami.

Choć tak mówił, straszna myśl o krokodylach nie przestała nękać tak jego, jak p. Ryszarda.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Żywy most. Takie mosty są w modzie w Afryce, zwłaszcza u podróżników europejskich, co zwiedzają tamtejsze kraje. Pewien Polak, hr. Potocki był tam także i tak o owym żywym moście pisze: »Żeby stanąć na dogodnych stanowiskach, trzeba było przechodzić przez grzęzkie, bujną roślinnością okryte trzęsawiska, rojące się od pijawek. Nie chcąc brnąć po kolana w błocie, myśliwi usadowili się na grzbietach murzynów i w ten sposób zamierzali przebyć trzęsawiska. Dziwnie wyglądali na takich rumakach a opasły doktor sapał, wzdychał, chwiał się, murzyna swego, Tomboldo, trzymał za bujne włosy obiema garściami. Nagle jeden z murzynów wydał rozpaczliwy okrzyk i nuż pędzić co sił do brzegu, inne »rumaki« wiernie go naśladowały. W mgnieniu oka znaleźliśmy się w bezpiecznem miejscu, z wyjątkiem Tomboldo i doktora. Co się stało? — pytamy wystraszonych murzynów, oni zaś ukazują na trzęsawisko, drząc z przerażenia. Spojrzeliśmy w tamtę stronę: do uginającego się pod ciężarem doktora i Tomboldo podpływał olbrzymi hippopotam, (koń rzeczny) znać wielce rozdrażniony, bo mu się nozdrza rozdęły a ślepiami krwawemi toczył. Niebezpieczeństwo było groźne; Tomboldo, trzymając się zasady: pierwsza miłość od siebie, zrzucił swój ciężar i zmykał jak jeleń, doktor zaś pluskał się w błocie, wrzeszcząc w niebogłosy. Tymczasem Tomboldo ukląkł nad trzęsawiskiem i podniósłszy ręce jął odmawiać modlitwę: »Bóg jeden jest i Mahomet jego prorok!« Myśmy posłali tymczasem grad kul, od których olbrzymi zwierz zachwiał się i runął. Doktor był ocalony ale ze strachu dostał febry, która go tydzień nie opuszczała. Ubity hippopotam miał 15 stóp długości, sześć cali grubą warstwę tłuszczu pod skórą; ważył 70 centnarów, z tego na samę skórę odchodziło 40 centnarów. Gorzej jeszcze bywa, gdy krokodyle do takiego żywego mostu się zabiorą, co się także zdarza.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Przesadzanie drzew.** Jeżeli drzewo przy przesadzeniu nie wiele ma drobnych korzonków pożywnych, lub zupełnie jest ich pozbawione, to korzeń główny chociażby nawet był zupełnie zmiażdżony, obwiązuje się wełnianym płatem i wkopuje do ziemi. Wełna utrzymuje w sobie wilgoć, przeprowadza ją w drzewo, tak że zaczyna puszczać liczne boczne korzonki i takie drzewa z pewnością pączkują.

— **Przeciw rdzewieniu lemieszy i odkładni pługów.** Zardzewiałe przez zimę odkładnie i lemiesze utrudniają robotę przy rozpoczynającym się z wiosną użyciu pługów, zwłaszcza na mocnych gruntach, gdyż ziemia nie zsuwa się z nich należycie, tylko się pcha, skiba więc źle się układa, a nawet cały pług raz po raz wyskakuje z ziemi. Wszystkim tym niedogodnościom zapobiega się od razu zwilżenie zardzewiałych części pługa, tuż przed użyciem, płynem tak zwanem »Carbolineum« którego się w każdej drogeryi dostanie. »Carbolineum« ma tę własność, że rdzę żelaza rozpuszcza.

— **O wpływie paszy zepsutej na dobroć masła**, można łatwo przekonać się z dwóch przykładów zamieszczonych w »Kleeblatt«. Na stacyi próbnej gospodarstwa mlecznego w Kiel dawano krowom w czasie zimy na 500 kg. świeżej paszy 5 kg. siana 3 kg. słomy, 5 kg. buraków, 2 kg. otręb pszennych, i 250 kg. ospy bobowej, która zsypaną była na jedną dużą warstwę. Masło wyrabiane w czasie użycia tej paszy było gorzkie, niesmaczne i do sprzedania zupełnie niezdatne, zaledwie jednak zaprzestano dawać krowom ospy bobowej, wróciło znów do dawnych swych przymiotów. Ścisłe badania wykazały, że ospa bobowa zgrzała się w środku kupy i psuła smak masła.

Drugi przykład podobny zdarzył się w mleczarni, przerabiającej dziennie około 2000 litrów mleka na masło. Jak tylko zaczęto dawać bydłu paszę zimową, masło zaczęło nabierać tak przykrego smaku, że odbiorcy brać je przestali.

Ponieważ gospodarstwo mleczne bardzo porządnie i starannie prowadzone było, należało zatem szukać gdzieindziej przyczyny złego. Okazało się wkrótce, że powodem zepsucia smaku były zmarznięte kartofle, z których jeden z dostawców mleczarni wyrabiał krochmal, a pozostałą z nich miazgą karmił krowy. Po usunięciu tego mleka masło przybrało ponownie swą dobroć.

Roboty
podczas głównego miodobrania.

Nadchodzi najważniejsza chwila wyzyskiwania pszczół, to jest główne miodobranie. Każdy pszczelarz powinien w tym czasie obejrzeć dobrze swą pasiekę i najsilniejszym rojom albo pozabierać matki, albo ograniczyć je w czerwieniu, jeżeli są w ulach ramowych warszawskich. Najsilniejsze z zabranych matek należy poumieszczać gdziekolwiek z garstkami pszczół, jako zapasowe małe rojiki, aby były na wypadek w pogotowiu. Jeżeli kto ma bezdenek snozowy z nadstawką ramkową, to matkę z garstką pszczół powinien umieścić na trzech rameczkach w szczycie nadstawki, gdzie jest wylocik otwierany próżkiem, i zagrodzić deszczułeczką od reszty nadstawki, która może być potrzebna na skład miodu silnemu rojowi osadzonemu do bezdenka. Ma się rozumieć, nie wcześniej pozwoli mu się składać miód w nadstawce, aż wpierw zarobi cały bezdenek ku spodowi. W rojach niezbyt musznych matki należy zabierać o kilka dni później. Całą czynność jednak trzeba tak rozłożyć, żeby w ciągu dni dziesięciu, a najwyżej piętnastu, ukończyć we wszystkich ulach zabieranie albo ograniczanie matek. Po uporządkowaniu każdego ula należy zapisać trzy terminy: dzień zabrania matki, dzień trzynasty, po upływie którego trzeba albo pilnować naturalnego roja, albo nie dać rojić się pszczołom, wreszcie dzień dwudziesty pierwszy, w którym trzeba miód zabierać lub przesadzić pszczoły.

Przy tem wszystkiem nie należy zapominać o pilnowaniu pasieki, aby roje do lasu nie uciekały, albo nie próżniaczyły z duszności lub braku miejsca do roboty Niejeden zapalony pszczelarz, choć się ma za doskonałego w swej sztuce, jak się zajmie robotą przy jednym ulu, to już nic nie widzi i nic nie słyszy, co się przez ten czas w innych robi. Bardzo często się zdarza, że pszczelarz z całą gromadą pomocników zbiera jeden rój, a inne tymczasem osiadają na drzewach i uciekają bezkarnie. Jeżeli w pobliżu ula jest parkan, to pszczoły zrojiwszy się mogą zaraz przelecieć na drugą stronę i z tej strony niewiele ich będzie widać, bo się będą kręciły za parkanem, brzęcząc i śpiesznie osiadając.

Otóż trzeba raz na zawsze zapamiętać, że póki pasieka nie jest doprowadzona do zupełnego porządku, tak, że nic się w niej dziać nie może bez woli i wiedzy pszczelarza, póty powinniśmy jej dobrze pilnować i od chwili kiedy się trutnie pokażą, roje się wzmocnią i pożytek się rozpocznie, codzień regularnie ją obchodzić. W dni pogodne pszczelarz od rana już powinien być w pasiece, a jeżeli jest rozległa, to postawić nadto czułych, nieospałych pomocników, bo byle jakiego próżniaka jednostajny brzęk pszczół prędko uśpi.

Pszczelarz musi znać dobrze wszystkie drzewa i krzewy znajdujące się między ulami i w pobliżu pasieki i przyglądać się codzień pilnie, czy też co czasem pośród gałęzi nie czernieje. Zdarza się, że wróble zrobią ze słomy duże gniazdo, które wygląda jakby rój osiadły na gałęzi; innym razem znowu rój tak osią-

dzie, że wygląda jakby gniazdo. Pszczelarz więc musi przez cały czas miodobrania dobrze uważać, patrzeć i słuchać.

Gdy po deszczach, które powstrzymały rójkę, błyśnie pogoda, trzeba mieć w pogotowiu w pasiece wodę, sikawkę, podkurzacz i drabinę, pomijając już inne przyrządy, które powinny zawsze być w pasiece.

Kiedy pasiecznik sam zbiera rój, to pomocnik powinien ciągle chodzić po pasiece i albo kropić wodą pszczoły osiadłe na spoczynek, albo dymem przeszkadzać, gdy nieproszone jeszcze roje zaczynają wychodzić. Kiedy z ula wysypie się już niemal pół roja i pszczoły kręcą się dokoła w powietrzu, wtenczas nie ma już co robić, bo na nic się nie zda kropić wodą, kurzyć dymem, albo przekomarzać się depcąc pszczoły po trawie; pozostaje tylko spokojnie patrzeć z boku, czy rój osiądzie, czy wróci nazad i na drugi dzień zrana większy wyjdzie. Gdyby nawet pszczoły z paru uli zaczęły się jednocześnie roić i połączyły w jedną gromadę, to i tę gromadę umiejętny pszczelarz będzie mógł zebrać, rozdzielić w razie potrzeby i do pustego ula osadzić.

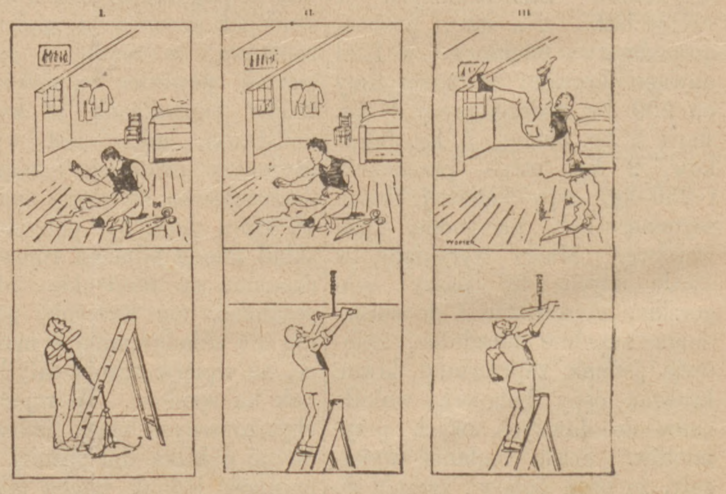
K. Lewicki.

Rozmaitości.

* **Kościół św. Piotra** w Rzymie nie posiada dotąd organu, któryby odpowiadał wielkości tej świątyni. Znajdowały się tam tylko dwa nie wielkie, skromne organy na kółkach, które stósownie do potrzeby przesuwane były do kaplicy lub do głównego ołtarza; miały one ton cienki, piskliwy, nie robiący wrażenia w potężnym kościele. W ubiegłym roku polecono tedy organiście Morettini w Perugii zbudować dwa organy, na miejsce powyższych. Obecnie zaś organista Arystydes Cavaille-Coll w Paryżu wykończył szkic do olbrzymiego organu dla kościoła św. Piotra. Już w roku 1875 przesłał on Piusowi IX rysunek wraz z opisem projektowanego organu; w roku 1881 Leon XIII kazał sobie również przedstawić ów plan, który zyskał jego uznanie i model organu, zmniejszony do $^1/_{10}$, wystawiony został w salach Watykanu. O ile się zdaje, brak funduszów nie pozwolił dotąd na zbudowanie owego organu, co obecnie ma być do skutku doprowadzone. Organ byłby jeszcze raz taki wysoki i szeroki, jak zbudowany przez tegoż Cavaille-Coll w roku 1862 dla kościoła św. Sulpicyusza w Paryżu. Będzie on miał 159 regestrów, 28 pedałów kombinacyjnych i około 8316 piszczałek, objętości dziesięciu oktaw. Między piszczałkami znajdą się niektóre po 14 metrów wysokości i 55 centm. średnicy.

* **Tajemnica spowiedzi.** Niedawno w mieście francuskiem zwanem Aix, sądzono bardzo ciekawą sprawę. Przed ośmiu laty do tamtejszego proboszcza, księdza Diumulena, przyszła o godzinie 3 po południu pani Blanszardowa, właścicielka ziemska z okolicy, aby odebrać 12 tysięcy franków, złożonych przez kogoś u proboszcza na ubogich, którymi się ta pani opiekowała. Do mieszkania proboszcza wpuścił ją zakrystyan Klozer. Do wieczora pani Blanszardowa nie powróciła do domu, więc rodzina zaczęła jej poszukiwać. Najprzód udano się do księdza Diumulena. Ten oświadczył, iż pani Blanszardowa była rzeczywiście u niego, odebrała pieniądze i zabawiwszy pół godziny wyszła. Ksiądz chciał ją przeprowadzić przez długie korytarze domu klasztornego, w którym mieści się plebanija, lecz pani Blanszardowa, wiedząc, iż jest chory na nogi, nie zgodziła się na to i poszła sama. W kilka dni po tych zeznaniach proboszcza rozpoczęło się śledztwo i w jednej z pustych i zamkniętych cel klasztoru znaleziono martwe ciało Blanszardowej, poranione kilku pchnięciami noża kuchennego. Zrobiono więc rewizję w samem mieszkaniu proboszcza i tu się znowu znalazła chustka zamordowanej, oraz nóż kuchenny pokrwawiony. Wobec takich poszlak uwięziono księdza. Mimo jego zapewnień, iż jest niewinny, sąd skazał go na zdjęcie święceń kapłańskich i na całe życie do ciężkich robót w jednej krainie zamorskiej, należącej do Francyi.

Minęło potem dużo czasu i zapomniano już o całej tej sprawie. Aż oto, cztery miesiące temu, zakrystyan Klozer dręczony wyrzutami sumienia, przyznał się, iż on to był zabójcą. Wprowadzając panię Blanszardową do księdza wiedział, że ma odebrać pieniądze, postanowił więc ją zabić. Ukrył się na korytarzu, którym pani Blanszardowa miała wracać, a gdy nadeszła, rzucił się na nią i udusił. Następnie wciągnął ją do pustej celi, aby spokojnie przeszukać



Co się przydarzyło pewnemu krawcowi, który mieszkał nad sąsiadem, wiercącym dziurę do lampy w posowie?

kieszenie zamordowanej; przekonawszy się jednak, że jeszcze żyła, pchnął ją kilkakrotnie nożem, a potem nóż i chustkę nieboszczki schował w pokoju księdza. Po spełnieniu zbrodni chciał jednak oczyścić swe sumienie, więc zaraz nazajutrz wyspowiadał się ze wszystkiego przed księdzem Diumulenem. Przed sądem w czasie śledztwa nie przyznawał się do winy, nie przypuszczając, aby księdza skazano niewinnie; po wyroku zaś nie miał odwagi wyznać prawdy. Ksiądz znowu, związany tajemnicą spowiedzi, choć znał zabójcę, nie mógł go wyjawić. Po takiem zeznaniu Klozera zarządzono powtórnie śledztwo, które potwierdziło prawdę słów jego. Uroczyście tedy uznano niewinność księdza Diumulena, i uwolniono go, a natomiast skazano rzeczywistego zbrodniarza. Ksiądz Diumulen już powrócił, uwiadomieni zaś wcześniej o jego przybyciu mieszkańcy miasta i okolicy tłumnie wyszli na spotkanie i w uroczystym pochodzie przeprowadzili go do świątyni, w której pełniąc obowiązki dał dowód tak szczytnego ich pojmowania.

* **Komunikacya w Chinach.** Chińczycy nie mają najmniejszego pojęcia o tem, iż drogi mogą być uważane za własnosć publiczną. Wszystkie drogi tamtejsze, na równi z rzekami i górami, są wyłączną własnością cesarza, tak, iż posiadacze gruntów, ciągnących się wzdłuż drogi, obowiązani są płacić od tychże dróg podatek, jakby za grunt orny. Ztąd wynika, iż każdy chłop chiński stara się zrobić swoją drogę o ile możności najwęższą, aby w ten sposób choć w części wynagrodzić sobie opłaty podatkowe. Rozszerzyć zaś tych wązkich ścieżek niepodobna, gdyż Chińczycy każdą drogę, z obawy właśnie, aby jej nie rozszerzono, okopują rowami, lub otaczają nasypami z gliny i cegły. Można sobie wyobrazić co się dzieje w tych glinianych korytarzach, gdy spadnie deszcz ulewny. Jedynie w miejscowościach, gdzie stoi wojsko, urzędnicy starają się sami o uporządkowanie dróg. Pochodzi to z tego, iż przy koszarach wojskowych bywają zazwyczaj komory celne, urzędnikom więc chodzi o to, aby powiększywszy ruch towarowy na tej a nie innej komorze, podwyższyć z nich dochód. To też dłuższe podróże po Chinach należą do tortur prawdziwych dla nieszczęsnych podróżnych.

* **Łatwy sposób oszczędności.** Takie dziś ciężkie czasy, że recepta na nie zawadzi, a recepta dobra, bo żyd ją wymyślił i to żyd polski, który nie tylko potrafił z piasku bicz ukręcić, ale ukręconego nie ruszać, aby się nie rozsypał. Więc żyd furman miał konia, w którym najokazalsze były kości, ale jednak musiał mu owsa dawać, bo ten koń i wóz tragarski żywił całą żyda rodzinę. A jednak trzeba było coś zaoszczędzić na koniu, bo bieda w domu dokucza strasznie. Żyd na sposoby brać się umiał, — więc sypał koniowi do żłobu owies a potem w nocy cicho podchodził i wykradał część owsa napowrót... Niech myśli, że mu to szczury zjadły a ja mu jutro dam tego samego, a nowego kupować nie potrzebuję. I wilk będzie cały i koza syta! Aj waj! takie ciężkie czasy, że człowiek sam dla siebie musi być złodziejem.

* **Introligatorami** pierwszymi byli zakonnicy, którzy pisane przez siebie księgi, oprawiali. Dopiero później stało się introligatorstwo osobnym zawodem. W r. 1299 było w Paryżu 17 introligatorów, którzy prawie wyłącznie dla dworu królewskiego książki oprawiali i to po części książki modlitewne lub z medytacyami. Introligatorzy miewali miejscami wielkie przywileje i cieszyli się wielkiem znaczeniem. Dawniej zaliczano ich do sztukmistrzów, nie do rzemieślników.

ŻARTY.

W restauracyi.

— Hm, pieczeń wieprzowa, kotlety wieprzowe, kiełbasa krakowska... a może u was są trychiny?

— Do usług! wszystko u nas jest proszę łaski pana...

Jak anioł!

A.: Moja żona gotuje, jak anioł!
B.: Jak to rozumieć?
A.: Oto tak, że wcale nie gotuje!

Odciął się!

— Panie! Jaki pan ma garb! Prawie, jak wielbłąd!

— Wsiądź pan na ten garb, to wielbłąd małpę poniesie.

Niebezpieczny mąż.

Pewien pan ożenił się po raz piąty. Przyjaciel jego zapytał się, dla czego jego żony tak szybko umierają?

— Nigdy im się nie sprzeciwiam, — odrzekł pan i nigdy nic na ich zrzędzenie nie odpowiadam. Z tego powodu gniewają się na mnie i mrą!

Kobiecy rachunek.

— Ileż pani ma lat?

— Zaraz. Wyszłam za mąż mając lat szesnaście, wtedy mój mąż miał lat dwadzieścia pięć. Teraz on ma pięćdziesiąt, to jest dwa razy tyle, a więc i ja mam dwa razy tyle, ile miałam, czyli trzydzieści dwa lat.

— A pan co mówi na ten nasz spór religijny? Pan jesteś ateistą, (nie wierzącym w Boga), czy deistą? (wierzącym w Boga).

— Nie panie, ja jestem dentystą.

Odpowiedź redakcyi.

F. W. „Zł. myś.“ umieścimy. Za wszystko dziękujemy. Artykuł do „Kat.“ też uwzględnimy.

Treść zeszytu 13 „Światła“:

ZAGADKA.

Gdy smutki trują to życie tułacze,
Pierwsze i drugie ach! pewnie zapłacze,
Lecz niechno błogie zabłysną nadzieje,
Trzecie i czwarte wraz z niemi kwaśnieje.
Całość się kołem roztacza przed Tobą —
A schludne chatki jej miłą ozdobą. *(Wł. B. Schoen.)*

LOGOGRYF

(układu B. Laurentowskiego z Buku).

Z następujących 53 zgłosek:

lo, ki, we, ja, sław, h, sos, po, dzi, mie, dno, cya, żu, da, sło, rej, pa, wie, ga, wóz, le, cha, skar, łby, sta, ro, ta, li, ty, cie, weł, ne, k, sło, źle, ni, ka, rzan, śro, belt, ciel, mach, rak, wi, grzmo, zan, stal, ki, ach, przy, piotr, skal, a, ułożyć 26 wyrazów w 23 rzędach; których środkowe litery czytane z góry na dół tworzą: imię, nazwisko i miejsce urodzenia zmarłego patryoty i obrońcy szląskiego ludu.

Znaczenia wyrazów:

1.	Litera.	0
2.	Przyjaciel A. Mickiewicza z lat młodszych.	0 0 0
3.	Narzędzie do przewozu.	0 0 0 0 0
4.	Miasto w Włoszech.	0 0 0 0 0 0 0
5.	Mieszkańcy nieba.	0 0 0 0 0 0 0 0 0
6.	Imię i nazwisko sław. kaznodziei polskiego z 15 wieku.	0 0 0 0 0 0 0 0 0 0 0
7.	Imię i nazwisko zmarłego redaktora szląskiego.	0 0 0 0 0 0 0 0 0 0 0 0 0
8.	Kochający się nawzajem.	0 0 0 0 0 0 0 0 0 0 0
9.	Nazwiska dwóch pisarzy polskich, filozofa z tego wieku i poety, co pierwszy polskie wiersze pisał.	0 0 0 0 0 0 0 0 0 / 0 0 0 0 0 0 0 / 0 0 0 0 0 / 0 0 0
10.	Zwiastuny i towarzysze burzy.	0
11.	Staropolska nazwa domu.	0 0 0
12.	Okrzyk radości lub smutku.	0 0 0
13.	Litera.	0 0 0 0 0
14.	Inna nazwa głów u zwierząt.	0 0 0
15.	Przyprawa obiadowa.	0 0 0
16.	Znajdują się w każdej kuźni.	0 0 0 0 0
17.	Żyje w wodzie.	0 0 0 0 0 0 0
18.	Jest w każdem naczyniu.	0 0 0 0 0 0 0 0 0
19.	Nazwisko miasta i dnia w tygodniu.	0 0 0 0 0 0 0 0 0 0 0
20.	Ptaszki śpiewające.	0 0 0 0 0 0 0 0 0 0 0 0 0
21.	Święty Męczennik, patron Polski.	
22.	Najpiękniejsza nazwa matki.	
23.	Tytuł komedyi I. N. Kamińskiego.	

REBUS.



Ażeby Szan. Czytelnikom ułatwić rozwiązanie rebusów, podamy w przyszłym numerze objaśnienia o tem.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy 20 nagród. Rozwiązania należy przesłać **do końca Sierpnia.**

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.

„Znak“, uprawniający do uczestniczenia w losowaniu o nagrody za dobre rozwiązanie zagadek z Nr. 13-go „Światła“ 1892 roku.